

Czesław Hernas

Dobrze o gustach niepożądanych

Teksty : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 6 (30), 1-7

1976

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Komitet
Nauk
o
Literaturze Polskiej
i
Instytut
Badań
Literackich PAN
dwumiesięcznik
6 (30), 1976

teksty teksty teksty

TEORIA LITERATURY • KRYTYKA • INTERPRETACJA

Dobrze o gustach niepożądanych

Przywykliśmy używać w liczbie pojedynczej terminu «literatura polska» i jest za tym przyzwyczajeniem nie tylko tradycja, ale i możliwość etnokulturowej i teoretycznej motywacji, a gdzieś w imponderabiliach kryją się pewnie głębsze kulturowe czynniki imperatywne, które uświęcają tę liczbę pojedynczą, choć obraz intuicyjnie chroniony — jako jedność — i obraz rzeczywistości badany w postaci jednolitego procesu są różne, bo nie badany jest cały, zróżnicowany proces rozwojowy, lecz tylko jego nurt główny, zmienne centrum literatury włączone w żywe centrum dziania się historii. Właśnie historia powoduje, że obraz literatury dwoi się lub troi, że trzeba, myśląc o czołowych nurtach literatury romantyzmu, mówić «krajowa» i «emigracyjna», a myśląc o współczesności, szukać hipotetycznych podziałów, które uwzględnią także rozwój literatur «polonijnych». Tak czy inaczej każdy sposób budowania systemowych opozycji porównawczych ma wspólny mianownik i jedno odniesienie: wobec krajowej historii, a więc wobec etnicznego centrum.

W tym samym polu widzenia, lecz na biegunie przeciwnym wobec dzieł reprezentujących i współtworzących proces cywilizacyjny, umieścić trzeba «drugą literaturę polską» czy lepiej: drugie jej

skrzydło, twórczość przekazywaną ustnie w określonych środowiskach społecznych, wyrażającą je, dla nich przeznaczoną i przez nie kontrolowaną. Używając tu wyrazu *biegun*, myślę nie tylko o biegunowej odległości, lecz także o swoistych obustronnych magnetyzmach, przyciąganiach i odpychaniach, przejściach i przemilczeniach, fascynacjach i parodiach, manifestach i atakach. Są to niewątpliwie bieguny rozwojowe jednej literatury, choć trudno opisać rozwój owego drugiego skrzydła ze względu na nieporównywalną dokumentację tekstów przekazywanych ustnie i tekstów przekazywanych pismem czy drukiem. Ale dokumentacja, która jest, wystarczy jednak, by i tu mówić o jednym odniesieniu wobec etnicznego centrum z tym, że jest to przez długie wieki odniesienie pośrednie, wyrażające się w określaniu stosunku wobec tekstów ogólnonarodowej literatury (poprzez przejścia aprobatywne i parodystyczne), a przede wszystkim wobec normatywnych wzorów kultury i porządku społecznego. Zupełnie inną kwestią jest pytanie: kiedy w anonimowej twórczości ludowej pojawiają się sformułowane świadectwa świadomości narodowej? I jaką wartość mają te świadectwa językowe dla samego pytania, skoro powinno się wiedzieć, że ten stopień uogólnienia, jakiego w tekstach szukamy, jest obcy starej formacji folkloru, po prostu nie mieści się w przyjętych zasadach *langue*. I szuka się go, choć wiadomo, że nie powinien się pojawić. Anonimowi twórcy, mówiąc w imieniu własnej grupy lokalnej, budowali tym samym — zgodnie z prymitywnym sposobem widzenia świata i rozumienia życia — wypowiedź uniwersalną o sobie, tj. o człowieku, o swojej ziemi, tj. o centrum świata, o ojcowiznie (niekoniecznie, lub nie tylko w sensie materialnym). A myślę, że w całym okresie staropolskim także i szlachta w rozumieniu tych spraw była gdzieś w pół drogi między ojcowizną a ojczyzną.

Dwa bieguny, z których pierwszy wpisywał nas w europejskie procesy cywilizacyjne, drugi zaś — zgodnie ze środowiskowymi, zróżnicowanymi horyzontami widzenia i normami oceny — wypowiadał się o tym wpisywaniu, określając granice literatury w szerokim rozumieniu tego terminu. Na tym polu «magnetycznym», pełnym napięć wzajemnych i przyciągań pojawiają się i żyją zbiory tekstów (właśnie zbiory, a nie pojedyncze teksty) nie dające się przypisać w sposób pełny do żadnej z dwu tradycji biegunowych, choć

w różnym stopniu i w różny sposób z nimi są związane. Tymi zbiorami nie zajmował się dotąd ani historyk literatury, ani folklorysta, otwierala się jakby trzecia perspektywa literaturoznawcza, nie rozpoznany jeszcze obraz chaotycznego bogactwa. Przyjąłem dla określenia tego obrazu robocze określenie «trzecia literatura». Nazwa ta była dyskutowana i nie warto by się przy niej upierać, gdyby pojawiła się lepsza. Dlaczego nie uważam za lepsze propozycji «obieg trzeci» czy «obszary trzecie»? Może z nawyku, by trzymać się tekstów (a więc pojęcia «literatura»), bo w końcu tylko z odczytania tekstów wynikać mogą propozycje porządkowania zbiorów, określenia poetyk, projektowania nurtów na tym polu pośrednim. Źródłem rozbieżności zdań jest w istocie jedno pytanie: czy to jest literatura, czy paraliteratura? Przyjmijmy dla porządku, że i na tym polu pośrednim trzeba oczywiście oddzielić literaturę od piśmiennictwa, ale po tym zabiegu nie widzę innej możliwości, jak ta, by przyjąć, iż owa intencjonalnie estetyczna reszta jest we właściwym sobie obiegu społecznym literaturą. A więc sądzę, że odtwarzać trzeba jej obraz na tle jej własnych przeznaczeń, obiegów, odbiorów, czyli różnicować sposób widzenia i badania, tak samo jak różnicujemy od pewnego czasu postępowanie badawcze wobec folkloru, rezygnując z tradycyjnych nawyków historycznoliterackich.

Ale dodajmy, że równie interesujące są pytania o obiegi niewłaściwe, czyli inne niż przewidywane przeznaczenie (jeśli da się je z tekstu odczytać). Można więc pytać o «obiegi niskie» literatury «wysokiej», czyli poszukiwać obrazu złożonych procesów edukacyjnych, można też mówić o «obiegach wysokich» literatury «niskiej», a więc o nacisku potrzeb czytelniczych na literaturę. Najtrudniej jest oddzielić własne, subiektywne normatywy estetyczne obiektywnego badacza (tu odsyłać do Janusza Sławińskiego, «Teksty» 1976 nr 2) w tym śródtku literatury i mateczniku kiczu, filantropii, niezwykłych zdarzeń, elokwentnej dydaktyki, fascynacji wielkim światem, a trzeba tu i być sobą — poddać się potrzebie naiwnej interpretacji — i nie być sobą, tj. wymierzyć sobie (jako czytelnikowi) sprawiedliwość z owych podwyższających koturnów, koniecznie duchowo wyższych niż zwyczajne parametry ludzkie. Ale można i zejść z koturnów, a nawet warto, bo i twórcy norm, miar i koturnów chętnie

wracają do matecznika, jakby poddając się owym nie rozpoznany
magnetyzmem:

«Po co udajesz jakąś wyższość duchową, po co obnosisz się z ambicjami intelektualnymi, po co kłamiesz, że interesuje cię cała prawda o człowieku, dobra i zła? Przecież kochasz szmirę, sztuczne ły, fałszywe dobro, kliwne, oszukańcze uczucie, idiotyczne szczęśliwe zakończenia. (...) Jesteś szmirusem, mój drogi powierniku. I ja jestem szmirusem» Można to mówić z akcentem skruchy — jak T. Konwicky («Kalendarz i klepsydra», s. 199), ale można to też doskonale zracjonalizować, czyli wprowadzić na koturn — jak W. Gombrowicz. Tego już nie mówi szmirus jak Konwicky («Ja jestem cały z was (...) ale kiedy zostanę sam na sam z papierem (...) chcę być sobą, a więc całym z was, i nie mogę. Chcę opisywać od początku do końca samo dobro, a pisze mi się to dobro jakieś niezbyt dobre, dobro, z którego ciągle wyłazi zło»). Kiedy mówi Gombrowicz, jego zejście w matecznik nie jest odruchowe i naiwne, on nie idzie tam, na bosaka, lecz właśnie w koturnach, w co zresztą trudno uwierzyć, może tylko niesie te koturny przewieszane przez ramię, by szybko je ubrać, gdy trzeba i jak trzeba i może ukrywając swoje głębsze, naiwne, prawdziwe emocje (bo po co by tam szedł?) powiedzieć szmirusom już z wysokiego koturnu: «(...) zła literatura polska była dla mnie i ciekawa, i pouczająca». Tu nie ma miejsca na emocje, to jest pozycja przed sądem, i w dodatku niewłaściwej, od razu najwyższej instancji, bez przeprowadzenia śledztwa we właściwym o b i e g u, tj. we właściwej instancji. To tak, jakby narrator «Dziennika» (s. 92) z nie wyjaśnionych powodów utożsamiał się ze znanym polonistą z «Ferdydurke», który pragmatycznie chwalił — nie wdając się w szczegóły; ten zaś pragmatycznie gani bez możliwości odwołania. Ale im bardziej gani, tym wyraźniej rysuje się zamieszanie w kolejnych przesłankach — buntują się przeciw konkluzji, do której prowadzą. Wielka, edukacyjna literatura polska, przedmiot dumy i przedmiot nauczania (ale czy przedmiot czytelnicznych poszukiwań?), a więc dobra literatura polska — jak to powszechnie przyjmujemy — jeśli się jej bliżej przyjrzeć, jest w istocie siłą autorytarną, to czynnik edukacji zbiorowej; jej narratorzy, jej podmioty liryczne ukrywają w głębi — podejrzewamy to lub jesteśmy pewni — status zawodowy polonisty, mogą — jako nauczyciele —

budzić sympatię, ale nie zaufanie, wobec nauczycieli trzeba bardzo uważać, mają moralność stolarza wobec nieheblowanej deski, prowadzą, muszą prowadzić swoją twardą grę uwodzicielską na rzecz różnych koniecznych wartości zgodnie z kierunkiem szkoły i programem klasowym. Stykając się z Parnasem, jesteśmy od razu w sytuacji uczniów i nawet lubimy być edukowani, to zbiorowa potrzeba wewnętrzna, masochizm natury, ale lubiąc to heblowanie, jesteśmy przeciw wszelkim programom klasowym, a nawet przeciw całej szkole cywilizacji — to odruch natury — i mamy przekonanie uczniów, że szkoła, dążąc do s e r y j n e j reprodukcji wzorów, lekceważy tym samym, a nawet niszczy naszą niepowtarzalną (może brudną, ale autentyczną) ludzką indywidualność. «Dobra» literatura ma więc to dobro jakieś niezbyt dobre.

Dlatego poza «historią Mickiewiczów i Prusów» potrzebne są także dalekie przedmieścia Parnasu, gdzie nie wiadomo czy to wieś, czy miasto, czy folklor, czy literatura. Kiedyś kultura przedmieścia była zabudową żywiołową, dziś przedmieścia to dzielnice willowe. Zatarły się podziały, pomieszały się granice kryteriów w czytelnictwie, krytyce, systemie programowania i systemie odbioru, kiedyś jasne na tyle, że można było dzielić literaturę na złą i dobrą. Zła literatura z peryferiów weszła do śródmieścia, dobra ma pozacierane szyframi znaki rozpoznawcze jej służb edukacyjnych lub znaki podejrzanej jakości. Gdzie dziś te zbiory złych, ale atrakcyjnych powieści, romansów literacko niechlujnych, ale autentycznych w odślanianiu ludzkiego brudu, najlepszym, bo nie zamierzonym odślanianiu («brudy tych dusz autorskich» Gombrowicz)? Jeśli pojawi się jakaś «powieść fryzjerska», staje się ewenementem, niemal ewenementem życia literackiego. Powieści Germana, Mniszkówny, Zarzyckiej, Mostowicza są, próby ich wznawiania, filmowania, przerabiania na słuchowiska radiowe potwierdziły ich wartość, ale też ich niewspółczesność. Został jeden najwybitniejszy pisarz z pogranicza systemów normatywnych, przy którym nawet Gombrowicz zdjął koturny: «Czytam Sienkiewicza. Dręcząca lektura. Mówimy: to dosyć kiepskie, i czytamy dalej. Powiadamy: ależ to taniocha — i nie możemy się oderwać. Wykrzykujemy: nieznośna opera! i czytamy w dalszym ciągu urzeczeni. Potężny geniusz! i nigdy chyba nie było tak pierwszorzędno pisarza drugorzędno» (s. 292).

Normatywna granica między złą a dobrą literaturą przywołuje podziały kiedyś żywe, zasadnicze, naładowane obywatelskimi emocjami, głębokimi niepokojami. Ale te niepokoje dziś jakby się odwróciły. Kiedyś te żywiołowe przedmieścia szmirusów, batiarów, prymitywów, gangsterów, proletariuszy i pseudoproletariuszy oglądane były jako zagrożenie etnicznej kultury, jako tereny przymusowej, koniecznej edukacji. Bał się Karol Ludwik Koniński w 1938 r., że ta w całości gangsterska literatura «w czytelnictwie szerokich mas miejskich, z młodzieżą szkół średnich włącznie, skutecznie konkuruje z literaturą 'odgórną', ale już nieporównanie zwycięsko z literaturą prawdziwie ludową, z czystymi i zdrowymi Kurasiami»... Walczył, by zwyciężyły gusty p o ż a d a n e, by zagrozić drogę «żerowaniu na gustach niepożądanych», popytowi na niezdrowy snobizm, gustowi do proletariackiego realizmu, oczekiwaniu brutalnych frykasów. I aż żal pomyśleć, że ta walka w połowie została wygrana po wojnie. Bo może i zwycięstwo, i klęska były pomyłkami w założeniach strategicznych. Koniński aprobował właściwie jeden nurt w tej trzeciej literaturze: «czystych i zdrowych Kurasiów», a więc pisarstwo ludowe, zgodnie z powtarzaniem od wieku XIX przekonaniem, że lud ma coś do powiedzenia — i to coś było projekcją zawsze niedopowiedzianą, lecz niezwykle zapowiadającą. Po wojnie zrealizowały się marzenia w tym sensie, że zahamowano rozwój brukowców, a drogą przymusowej oświaty (gdzie było trzeba, np. walka z analfabetyzmem) przyłączono lud do kultury. Zaczęło się więc spełniać to, co najkrócej ujął Żeromski: «Synowie chłopów, ukończywszy studia, staną się twórcami kultury nieszlacheckiej, nowej, nieznannej. Polska nie ma swojej doktryny, toteż nie ucina głów przeciwnikom zbawczej, jakoby, doktryny». Myślę, że marzenie o nieznannej, nowej, zrodzonej z ducha ludu twórczości jeszcze się nie spełniło, a może i nie spełni się w tej postaci tradycyjnie wyobrażanej. To temat do osobnych rozważań o ukrywanej indywidualności w pisarstwie ludowym, o wstydlwym obywatelstwie i niewstydlwym estetyzmie, o strachu przed pełnym wypowiedzeniem siebie (Jan Pócek: «rozstrzelano we mnie energię apostołów zabito młodzieńczą wiarę janów więc jakże mi stanąć do boju o nowy świat o przyszłość świetlaną»), ale też o złym projektowaniu perspektywy: pisarstwo ludowe było tylko stuletnim nurtem

przysposobienia do literatury, a kiedy nurt ten się w zasadzie zamknął, dokonał się pełny i rzeczywisty awans i nie ma powodu różnicować pisarzy według pochodzenia! I oczekiwać, że właśnie ze wsi ma się rodzić «nowa, nieznaną» kultura. Chyba po prostu z życia takiego, jakie jest.

Natomiast zwycięstwo nad groźnym — jak sądzono — matecznikiem brukowców okazało się krótkotrwałe, pozorne. I właśnie niepokojące.

Bo wojna tu raczej niepotrzebna, lecz tolerancja, a nawet rozsądna ochrona. Dzieją się tu bowiem sprawy, próby pomysłów, realizacje gustów — tych niepożądanych — a więc zjawiska dla żywego procesu literatury konieczne, dzieją się między tym, co się pisze a tym, co się mówi, tym, co się akceptuje jako wzór a tym, co reprezentuje sobą jako rzeczywistość, tym, co tworzy literaturę z wysokimi aspiracjami a tym, co tworzy dzisiejszy folklor środowiskowy. Niechże się więc rozwija ta trzecia literatura w polu środka, potrzebna czytelnikom (jako przerwa w edukacji), nie taka groźna, jak kiedyś sądzono (jak by się przydał niepozorowany realizm proletariacki!), nie tylko w niczym nie przeszkadzająca czytelnym Kurasiom, lecz przeciwnie — konieczna i dla nich.

Rzecz dobrze ujął J. Andrzejewski, który — zachowując dystans wysokiego obiegu czytelniczego — nazywa «szmirę treściową i artystyczną» nawozem, ale reprezentując twórczość wysokiego nurtu, pogardę dla tej szmiry uważa za niedorzeczną, z niej bowiem płynie bujna płodność sztuki: «powiedziałbym, iż nie dowierzam arcydziełom, które nie pozwalają mi, dzięki skamieniałej doskonałości, odnaleźć zanikających ech oraz cieni natrętnej i wulgarnej szmiry» («Literatura» 1973 nr 20).

Niech się więc i literatura wytarza czasem w tym brudzie

Czesław Hernas